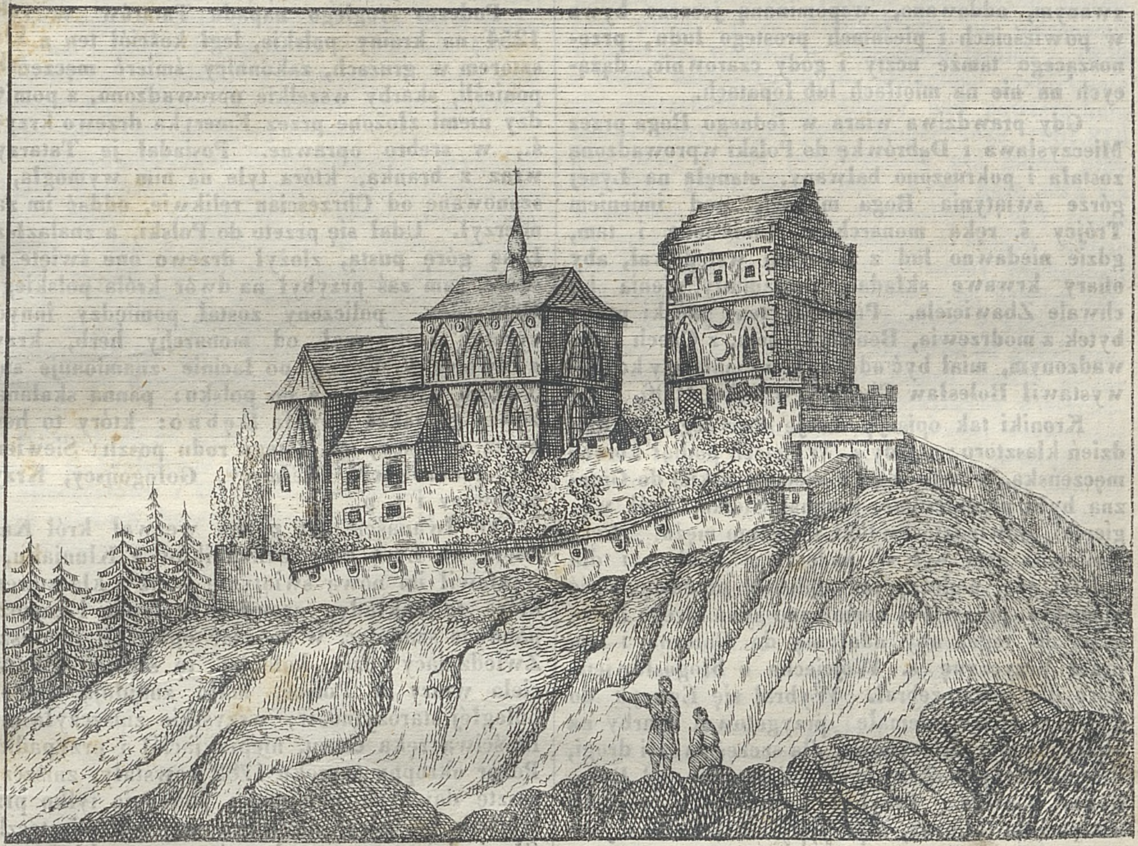
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 29.** **Leszno, dnia 20. Stycznia 1838.**

Kościół XX. Benedyktynów na Łyséj górze.



Ta, co w chmurach, obłokach, harde czoło chowa,
Tak jak w przepaści wieków osada Lechowa.
Ta czczona od Sarmatów i Germanów skała,
Co na pierwiastki, świetność i zgon nasz patrzała;
Co jak potęgę Rzymian, tak naszą przeżyła,
Jakby zniknych narodów żałobna mogiła,
Stoi godłem zbawienia, krzyżem uwieńczona.
Tam się od wieków wznosi od połowy góry,
Dla światła nieprzystępny, głuchy i ponury,
Tajemnym sam wierzchołek obrzędom oddany:
W migających płomieniach zwiedzały niebiany.
Tu Lelum i Polelum miewały świątnice,
Zabobon swe siedlisko, gody czarownice,
Póki ich nie zniszczyła ręka Bolesława,
Na gruzach bałwochwalstwa święte wznosząc prawa.

W.

Nim błogie światło wiary chrześciańskiéj wśród Sławian zajaśniało, nim pyszne świątynie, wznosząc ku niebu wysokie swe szczyty, przypominać im zaczęły, iż człowiek nie dla ziemi stworzony, a unosząc myśl śmiertelnika do źródła wszystkich doskonałości, korzyć się przed niém, jako prawdziwym Bogiem, kazały; wtedy już polubił lud sławiański wyższe miejsca i góry, i zbierał się na nich w celu oddawania czci bogom, których w prostocie swojéj sam sobie utworzył. Rozsądni chrześciaństwa pomiędzy Sławianami rozkrzewiciele, przywodząc lud do uznania nierozsądnych swych zabobonów i porzucenia sprosnych bałwanów, stawiali właśnie w miejscach, w czasie pogaństwa przez lud najbardziéj odwiedzanych i w odległych czasach poważanych, przybytki jedynego Boga, a lud przywiązany do nich, chętniéj w nich się zgromadzał. Dowodem téj prawdy, są zabytki pierwszych w kraju naszym kościołów, do jakich kościół święto-krzyzki na Łysej górze należy.

Łysa góra, Święto-krzyzką także zwana od kościoła i klasztoru XX. Benedyktynów na niéj założonego, leży na samej granicy dzisiéjszych województw sandomierskiego i krakowskiego, poczynając się właściwie w miéjscu o 2 mile od Kielc odległém, ciągnie się przez 2 mile w kierunku wschodnio-południowym. Góra ta już w odległéj słowiańskiéj mitologii sławna przez cześć, jaką na niéj wśród migających ogni bożyszczom Boda, Lada, Leli zwanym, oddawano, wspominaną jeszcze bywa w powieściach i pieśniach prostego ludu, przenoszącego tamże uczty i gody czarownic, dążących na nie na miotłach lub łopatach.

Gdy prawdziwa wiara w jednego Boga przez Mieczysława i Dąbrówkę do Polski wprowadzoną została i pokruszono bałwany, stanęła na Łysej górze świątynia Boga miłości, pod imieniem Trójcy ś. ręką monarchini wzniesiona i tam, gdzie niedawno lud z bojaźnią wstępował, aby ofiary krwawe składać, zabrzmiały pienia ku chwale Zbawiciela. Pierwszy ten pański przybytek z modrzewia, Benedyktynom, z Czech sprowadzonym, miał być oddany: wspanialszy kościół wystawił Bolesław Chrobry w roku 1006.

Kroniki tak opisują dzieje sławnego po dziś dzień klasztoru: „Gdy ś. Wojciech podjął koronę męczeńską, a ciało jego z ziemi pruskiéj do Gniezna było przeniesione, pragnął Stefan, król węgierski, odwiedzić zwłoki świętego męża. Lecz ponieważ sam był w podeszłym wieku, i dla boleści nóg, podróży tak dalekiéj przedsięwziąść niemógł; przywiódł namowami syna swego Emeryka do tego, aby udał się do Gniezna i tam przez przyczynę ś. Wojciecha o błogosławieństwo dla siebie żebrał. Wybrał się Emeryk do Polski: ojciec niemałe przygotował skarby na ofiary: nadto dał synowi, dla szczęśliwości drogi, drzewo krzyża Zbawiciela, darowane od Benedykta papieża. Przybył królewicz z wielkim dworem do Gniezna, a przyjęty od Bolesława jako przyjaciel, traktowany był znamienicie. Naostatek, gdy już wypełnił modły i złożywszy ofiary królewstwa, ojca Bogu polecił, w powrocie do Węgier, odprowadzał go król Bolesław, świekier jego, aż do miasta Kielc. Czasu pewnego gdy na łowach byli, stało się z bożego zrządzenia, iż Emeryk odłączywszy się od dworzan, zapuścił się w puszczę za wielkim jeleniem; a gdy na górę wielką wbiegł, ścigał go królewicz. Zwierz przestraszony zrzucił się z skały, co widząc Emeryk, zatroskał się bardzo. Wtém ukazał mu się anioł boży i rzekł do niego: „Nie lękaj się młodziencze! jeśli uczynisz ślub, iż zostawisz w tém miéjscu to, co masz przy sobie najdroższego, wyjdziesz z téj kniei.“ Przyrzekł to uczynić młody monarcha, a wnet wyprowadził go posłaniec boski z ciemnéj puszczy na drogę, gdzie znalazł dwór Bolesława, któremu wszystko, co się stało, opowiedział. Drugiego dnia wybrali się więc wszyscy ku Łysej górze z Lambertem, krakowskim biskupem, bawiącym się wówczas na dworze. Tamże przywdział Lambert szaty biskupie, a Emeryk przyklęknąwszy, zdjął z siebie drzewo krzyża ś., które nosił na piersiach, oddał je biskupowi, a ten je niósł przed wszystkimi na górę. Opat miejsca onego zabieżał ze wszystką bracią aż pod górę, gdzie dziś stoi kaplica Wszystkich Świętych i wziął krzyż z rąk biskupa i wniósł do kościoła swego, który odtąd Święto-krzyzkim nazywano.

Podczas srogiego napadu Tatarów w roku 1254 na krainy polskie, legł kościół ten z klasztorem w gruzach, zakonnicy śmierć męczeńską ponieśli, skarby wszelkie uprowadzono, a pomiędzy niemi złożone przez Emeryka drzewo krzyża ś., w srebro oprawne. Posiadał je Tatarzyn wraz z branką, która tyle na nim wymogła, iż szanowane od Chrześcian relikwie, oddać im zamierzył. Udał się przeto do Polski, a znalazłszy Łysą górę pustą, złożył drzewo one święte na skale, sam zaś przybył na dwór króla polskiego. Ochrzcony, policzony został pomiędzy innych rycerzy i otrzymał od monarchy herb, krzyż z dwoim V V, co po łacinie znamionuje się: Virgo violata, a po polsku: panna skalana; zowią go także zwykle Dębno: który to herb noszą wszyscy, co z tego rodu poszli: Siewieńscy, Pińczowscy, Oleśniccy, Gologońscy, Krzyżanowscy i t. p.

W dwanaście lat potém wezwał król Kaźmierz na Łysą górę zakonników z Kluniaku, i wystawił im nową świątynię wraz z klasztorem, które to zakłady, następni królowie i zamożni panowie szanując, w znaczne opatrzyli fundusze. Zwiedzający dziś kolebkę tę świętéj Zbawiciela wiary w Polsce, mało znajdują śladów odległéj starożytności; wszystkie zniszczyła nielitościwa ręka czasu, nieprzyjaciół i przypadku. Pożar okropny w roku 1782 powstały, zniszczył resztę dawnych pamiątek: pokazują tylko przy wejściu na górę, na kilka staj od miasteczka Słupi, leżącego u spodu góry, posąg klęczącego rycerza w zbroi, wyrobiony z kamienia piaskowego, który wnosząc z dzieciństwa kunsztu, jakie objawia, bez wątpienia do pierwszych czasów chrześciaństwa w Polsce odnieść wypada. Poniżéj miejsca, gdzie dzisiejsza stoi świątynia, jest kawał ziemi oparkaniony, gdzie miał stać pierwszy przez Mieczysława wystawiony kościołek. Gmachy, zajmujące dziś powierzchnią Łyséj góry, są dziełem ostatniego Opata zgromadzenia XX. Benedyktynów, X. Niegolewskiego. *) Wystawa kościoła święto-krzyzkiego nie uderza patrzącego, gdyż złączona z klasztorem nie tworzy całości z pozostałą z dawnego gmachu kaplicą; więcéj zajmuje wnętrze świątyni, jest bowiem obszerna, jasna i schludna. Ozdobiona pięknie, lubo skromnie, dziwne czyni na widzach wra-

*) Szanowny ten kapłan umarł w roku 1834, przeżywszy 90 lat z okładem: zasmucony, iż widział dzieło staran i zachodów swoich wraz z sobą zniszczenia bliskie.

żenie; szczególniéj zachwycają obrazy siedmiu ołtarzy, pendzla sławnego Smuglewicza; szkoda tylko, iż dzieła te wielkiego mistrza, panującą w murach tych wilgocią znacznie są uszkodzone, a szczupłe pozostałych kilku członków zgromadzenia dochody, niedozwalają pomyśleć o zachowaniu na długo tych pamiątek. — Obok zakrystyi, zamożnéj niegdyś w wielkie bogactwa, jest kaplica założona przez Mikołaja i Zofią Oleśnickich. Jest ona zabytkiem dawnych gmachów i w niéj przechowują z czcią szczątki krzyża ś., a malatury na ścianach i kopule al fresco, nie bardzo szczęśliwego pendzla, wystawiają historyą znalezienia téj relikwii i złożenia jéj przez królewicza Emeryka na Łysej górze.

Mieszkania zakonników, obszerne i wygodne, stoją w wielkiéj części pusto; kilku bowiem tylko Benedyktynów błąka się w nich! Biblioteka, niegdyś jedna z pierwszych w Polsce, pozbawiona swoich skarbów, smutny przedstawia widok. Na jednym z kurytarzy jest na marmurze napis, objaśniający przygody świątyni w łacińskim języku. Przytacza nam go autorka pamiątki po dobréj matce. Jest téj osnowy:

D. O. M.

Kościół ten na Łyséj górze położony, w wieku wiary, w królestwie niegdyś polskiém roku 996 od Mieczysława i Dąbrówki małżonków, pierwszych polskich chrześciańskich xiążąt, w miejscu, najohydniejszemu bałwochwalstwu przeznaczonem, w którém potrójnemu bożyszczu: Swist, Poświst, Pogoda, przeklęctwa czyniono, na teraz Bogu jednemu w Trójcy świętéj, Ojcu, Synowi i Duchowi jest poświęcony. Naprzód sześciu z Czech z wspomnioną Dąbrówką przybyłym Benedyktynom dom ten roku 1006 od Bolesława Chr., syna wspomnionych xiążąt, a pierwszego Polaków króla, przeznaczony został; a po zamęczeniu tych, innym dwunastu Benedyktynom z Cassino sprowadzonym, kościół ten Krzyża ś. od Emeryka i Stefana króla Węgierskiego staraniu poruczony, wielu zaś cudami wsławiony, od znakomitych zgromadzeń ludzi odwiedzany, a od stolicy ś. apostolskiéj odpustami i przywilejami uzacnionym został. Ucierpiawszy wiele od bałwochwalców, wiarołomnych Tatarów, roku 1260, pod rządem S. Stanisława Opata 82go, cokolwiek od Litwinów i po 3 razy od Szwedów, nienawiść religijna pomściła się na niewinnych męczennikach. Za czasów zaś Stanisława II., Opata, Mikołaja przeora i Jakóba przełożonego, klasztór ten po ile razy ogniem był zniszczony albo zburzony, tylekroć od pobożnych królów odnowiony został. Nakoniec w roku 1780 od pożaru zupełnie zniszczony, łaskawością przełożonych, nakładem zgromadzenia, na nowo odbudowany, ołtarzami, organami i stalami od Jana Nep. Niegolewskiego Opata ozdobiony, innemi także potrzebami zapomożony, staraniem Wincentego Szczytyńskiego przeora, a od J.W. Gawrońskiego, biskupa krakowsk., w assystencyi duchowieństwa świeckiego i zakonnego i w obecności 24000 zebranego ludu roku 1806 był poświęcony.“

Z wieży kościoła czarujący widok wynagradza trudy wędrownika. Pod nogami rozbijają się chmury, a w dni zaś pogodne bawi oko dziwnie piękne panorama miasteczek i wśi wśród licznych gajów w rozległości kilkunastu mil w około. Jest to najwyższy punkt w królestwie polskiém, albowiem podług dokładnych pomiarów przez Fr. S. Armińskiego, pr. astronomii w uniwers. warsz., w miesiącach letnich r. 1828 i 1829, uskutecznionych, oznaczone wzniesienie się wierzchołka góry Łysicy nad powierzchnią morza baltyckiego przy Kopenhadze 1961,816 stóp par., a nad powierzchnią zaś morza przy Gdańsku 1865,786 st. par. Łysa góra dwa ma właściwie wierzchołki, wznioślejsze nad resztę jéj grzbietu, od najdawniejszych czasów osobne noszące imiona; pierwszy ze strony wschodniéj nad miasteczkiem Słupią leżący, na którym opisany XX. Benedyktynów kościół z klasztorem, nazywa się **Łysą górą**, zapewne od gołoborza, t. j. miejsca skalistego w lasach borem niezarośniętego. Dla téjże saméj przyczyny wierzchołek na drugim końcu góry, od strony zachodniéj leżący, zowie się **Łysicą**, inaczéj mianują go górą ś.téj Katarzyny, od klasztoru tegoż imienia sióstr Bernardynek, pod górą, ze strony północnéj istniejącego. Góra ta cała, wyjąwszy kilka skalistych miejsc, **gołoborzem** zwanych, cała jest okryta pięknym lasem z sosn, modrzewiów, jodeł, buków, dębów, klonów znacznéj grubości złożonym: obfituje w skały kwarcowe, z których leżące na jéj powierzchni, przez czas i zbieg miejscowych okoliczności w sztuki porozpadane, utrudzają znacznie pochód na górę; lecz nie zważa na poniesione mozoły ten, kto wstąpił raz na górę, tylą pamiątkami słynną.

Urywek z podróży malowniczéj po Wielkopolsce.

(Dokończenie.)

Przed laty kilkudziesiąt, nie pomnę już który z moich dziadów przyjął (plenipotenta) dworskiego. Stary to był człowiek, lecz pomimo wiek podeszły, nie dawał się nikomu uprzedzić w wykonywaniu naznaczonych mu powinności. Trafiło się razu pewnego, że ś. p. dziedzic ówczesny Golejewka, a mój dziad, dawszy owemu dworskiemu, którego nazwiska nie pamiętam, znaczną ilość złota i srebra, wraz z tabakierką i rzędem złotym, wysłał do Wrocławia, aby te drogości zamienił na pieniądze. Los zdarzył się, że starzec, nie dojechawszy stolicy Szląska, umarł w drodze; a państwo, jak to w owych czasach, mało się troszcząc o stracone złoto i srebro, przyjęli nowego sługę. Młody następca, rodem z Litwy, dopiero co był przybył do domu



Odysseusz.

swego pana, kiedy tenże gody huczne w nim wyprawić postanawiał. Zjechało się szlachty bez końca; wrzawa odjeżdżających z dziedzińca i nowo przybywających gości, napełniała dwór i otaczające go sady, gumna i łąki. Napływ obcych był tak wielki, że służba, ile przy letniéj porze, musiała przenieść swe łoża do stodół. Młody nasz pan dworski, mało jeszcze obeznany z mieszkańcami nowéj swojéj okolicy, udał się wcześnie na spoczynek, także do stodoły i zasnął. Wtém mu się śni, że jakiś stary człowiek stawa przed nim, i temi odzywa się słowy: „Kollego, jam twój poprzednik; wysłany byłem od państwa z powierzonemi mi skarbami, które miałem obrócić na pieniądze: lecz śmierć zabroniła wykonać polecenie. Proszę cię, udaj się zaraz jutro z rana na bramę; w środku wieży zamurowany jest ów rząd złota z tabakierą i resztą powierzonych mi klejnotów: wyjm je, oddaj państwu i dołącz me życzenie, żeby to wszystko przedaném zostało, a zebrane pieniądze częścią ubogim, częścią kościołowi rozdane. Ilość pieniędzy, którą zbierzecie za wszystko, jest ta a ta, żaden złotnik więcéj nieda. Uczyń o co cię proszę; żebyś zaś pamiętał, daję ci znak!“ i uderzył go w twarz. Młodzieniec zrywa się ze snu, i widzi przed sobą ze służby, która porozbierawszy swoich panów, wracała do stodoły na spoczynek, kilkunastu. Rozumiał z początku, że może który z tych młokosów przez żarcik był owym duchem uderzającym. Lecz gdy go przysięgi obwinionych dostatecznie przekonały o niesłuszności jego posądzeń, sen opowiedział wszystkim. Nazajutrz każdy oczywiście swemu jegomości dziwną zaniósł nowinę. Zbliżyła się też obiadowa godzina, we dworze gody uroczyste, kiedy siedzący w pośrodku ś. p. pan Gniazdowski, dziedzic Szurkowa, powstaje i wzywa dworskiego, żeby sen swój opowiedział. Młodzieniec wzbraniał się długo, wreszcie słownie go powtórzył. Natychmiast wszyscy od stołu powstali; biegną na miejsce przez nieboszczyka wskazane; rozerwano mur, i tak, jak on przepowiedział, wszystko zastano. Posełano do różnych miast, Warszawy, Poznania, Krakowa i kilku innych, żaden złotnik ani o grosz więcéj lub mniéj nie dawał, tylko taką summę, jaką był nieboszczyk oznaczył. Sprzedano nareszcie wszystko, a kościół golejewski, któremu darowano część z zebranych pieniędzy, zachował dotychczas pamiątkę dziwnego zdarzenia.

Pomiędzy dosyć potocznéj treści zabytkami kościoła golejewskiego, prócz starych bowiem portretów kollatorów, nic osobliwszego w sobie nie zamyka, znalazłem doniesienie o powietrzu, które przed stu laty wyludniało okolice wielkopolskiéj. Pleban ówczesnéj parafii, kronikarskim sposobem opisał skutki téj okropnéj zarazy. Pomiędzy innymi donosi, że w parafii golejewskiéj nędza do tego doszła stopnia, iż mieszkańcy, w małéj tylko liczbie pozostali, w liściu, korzonkach lub korze drzew pożywienia szukać musieli; innego nie było. Zdaje się, że sam ten zacny kapłan musiał paść ofiarą powietrza, gdyż ile starsi pamiętają ludzie, od daty, na któréj on uciął swe opowiadanie, nieomal rok jeszcze grassowało.

Prócz tych kilku szczegółów, zajęły mnie szczątki urn po górach piaszczystych po nad wsią sterczących, w dali rozrzucone; zresztą nic ważnego.

Odysseusz.

Rysy tego bohatéra starożytności, znanego z przebiegłości swojéj, znane są z wyobrażeń jego na kamieniach rzniętych, rzadkich wprawdzie, lecz dochowanych do dni naszych. We wszystkich tych antykach spostrzegamy zgodność w oddaniu głównego charakteru i wyrazu twarzy: widać w nich rozum przenikliwy, chytrość, bystrość i przytomność umysłu: a szczególniéj nasz artysta umiał jeszcze do tych rysów, dodać tęsknotę do ojczyzny, i troski, które w czasie jego błąkania się po morzu czoło jego zasępiły.

Co do pokrycia głowy uczeni zgodzić się nie mogą. Z Iliady X. 265 wnoszą, że miał rodzaj białéj czapeczki, lecz ta czapeczka była zapewne pod hełmem, który bez niéj zbyt skronie przyciskał. Inny attrybut znajdujemy nad głową, pewien rodzaj rośliny: być może że to jest Lotus, którym dawni bohaterowie zwykli byli wieńczyć swe hełmy.

Wiele lat po zdobyciu Troi błąkał się po morzu Odysseusz, nie mogąc trafić do swojéj ojczyzny. Towarzysze jego, zuchwali Cefalończykowie, wszyscy stali się ofiarą gniewu bogów i żywiołów; on sam tylko wyrzucony na brzeg wyspy, na któréj panowała Nimfa **Kalipso**, wstrzymywany od niéj i łudzony różnemi obietnicami; lecz ani chłodzące tajemne groty, ani miłość bogini, nie zdołały przytłumić w wiernem sercu bohatéra tęsknoty do ojczyzny, aby mógł

przynajmniéj z daleka dym wznoszący się w górę z ojczystego komina oglądać.

Minerwa, opiekunka bohatéra, nie może już dłużéj patrzeć obojętnie na jego cierpienia, i wstawia się za nim przed tronem Jowisza. Nieprzytomność Posejdona, jego zawziętego nieprzyjaciela, ponieważ mu oślepił ulubionego syna, jednookiego cyklopa Polifema, nastręcza najlepszą sposobność podania ratunku nieszczęśliwemu. Jowisz wyséła Merkurego do bogini Kalypso z rozkazem, aby go natychmiast wypuściła do ojczyzny: tymczasem sama Minerwa wybiera się w podróż do Itaki, ofiarując się pod postacią Mentora, króla Tafiów (Odyssea I. 102.) za przewodnika Telemachowi, dla wyszukania ojca.

Zeus siedzi na swym tronie (Odyssea I. 84.); nad nim unoszą się Hory, środkowa, z otwartemi rękami, patrząc przed siebie, oznacza obecność; druga, odwracając się, przyszłość; a trzecia, w tył patrząca, znaczy przeszłość.

Jedną ręką opiera się Jowisz na orle, spoczywającym pomiędzy nim a Minerwą, którego bystry wzrok w córkę boginią mądrości jest wlepiony; z drugiéj strony tron spoczywa na sfinxie, który jest godłem zasłonionéj mądrości Merkurego. Nietrzeba się dziwić, że Merkury, bez hełmu skrzydlastego i bez skrzydeł u nóg wystawiony. Rysownik bowiem ściśle się trzymał powieści Homera. Dopiero po otrzymanym rozkazie (Od. V. 34) przywiązał sobie skrzydlaste obuwie; w jednéj ręce trzyma trzos, jako bożek szczęścia; w drugiéj zaś laskę wężami okręconą, jako znawca sztuki lekarskiéj, a oraz przewodnik zmarłych cieni do piekieł.

Pallas Athene błaga Jowisza za Odysseuszem.

(Kontury Flaxmana.)



Otwarcie kolei żelaznéj z Paryża do Saint Germain en Lay.

(Ciąg dalszy.)

Zbliżywszy się następnie do pojazdów, po wymianie biletów naszych, zajmowaliśmy miejsca, a co do nas usadowiliśmy się na pudle, czyli imperyale, przezto nietylko uniknęliśmy paru w pojazdach, ale zarazem zyskali na widoku tak miasta, jak okolic. Siedziało zaś pod nami w samym wielkim kolejowozie przeszło czterdzieści osób, piątkami uszykowanych. Niebawem napełniono wozy, odebrano bilety, zatrzaśniono drzwiczki, i głuche powstało milczenie; zbliżająca się albowiem godzina 7. poranku, ruch lotu naszego zwiastować miała: jakoż za uderzeniem zegaru, przewodnik nasz, jak Eol drugi, na tronie zasiadłszy, trącił w czarownego wozu zaporę (korbę) i wywarł tym samym niecierpliwy żywioł, któren charkać i sycić się począł,

wśród powszechnych radości naszéj okrzyków! W okamgnieniu przyczepiono pasmo kolejo-żelaznych pojazdów, do owéj Salamandry (tak nazywają wóz sam parowy); a za drugiem ulżeniem zapory, ruszać się cała machina i sprzężać poczęła: że zaś koléj w podziemnych pieczarach bierze swój początek, podziemne tedy i z poważnym najprzód stępem przebywaliśmy sklepienia, właśnie jak antypody, mając nad sobą bióro zapisów, plac Europy i znaczną część ziemi, pod którą droga na 264 metry (łokcie nowo-francuzkie) długa, przebiega, nim światło dzienne powita. Jeszcześmy w głębi pieczar bawili, kiedy coraz to chyżéj pędząc, uderzył nas odległy i głuchy łoskot, któren coraz to więcéj wzrastając i po sklepieniach się rozlegając, mocno przerażał zmysły nasze, a wymiotnieni na świat lotem błyskawicy, gdyśmy światłem niebios byli omamieni, zagłuszył nas zarazem do grzmotów podobien zgiełk okrzyków, klasku i wrzawy nieprzeliczonych mass ciekawego ludu, któren po stronach drogi, wysokie zalegając brzegi, od świtu z upragnieniem oczekiwał nieznanego dotąd widoku. Zjawisko to, przemijającém atoli było, bo w okamgnieniu unoszeni wpadliśmy w powtórne nury, czyli tunel, po pod wieś Batignolles bieżący, a nierównie dłuższy, bo 328 metrów okładem liczący; przekroczyliśmy potém i gościniec od Orleans i od Clichy bieżący, pomostami ponad temiż rzuconemi; odkąd gdy koléj zaczęła górować, a brzegi płaszczeć, najpyszniéjszy zjawiał się widok Paryża i okolic jego. Nowy łuk tryumfalny, któren polom elizejskim i laskowi bulońskiemu panuje, z jednéj wystąpił strony; z drugiej zaś Montmartre wiatrakami ożywione wyjrzało; przypadłszy pod Asniéres na most, dla kolei nad Sekwaną zbudowany, zoczyliśmy tam, sławne grobami królów francuzkich Saint Denis, tu kępę pod Neuilly kamiennym, lekkim i śmiałym mostem Peyromnetta głośne, i pobliskie pola Putaux łanami róż barwione i wyborem ogrodowin zwłaszcza ogórkami cukrowemi (szparagami) zalecone; owdzie znów majem zielonym strojną a świętą niegdyś górę kalwaryi. W przelocie gaju pod Garenne, odwiedziliśmy z smacznych bułeczek znakomite Nantere, które właściwy kres widoków pięknych stanowi; odtąd albowiem bezludna nastąpiła przestrzeń i płonne pola, lecz i te niemogły nieprzyjemnych podróżującym uczynić wrażeń, bo pośpiech i szybkość jazdy po kolei żelaznéj skracając chwilę, same nawet nudy uchyla; jakoż wnet dopadliśmy głębokiego wyłomu skał i przesunęli się po nasępisku, groblę, na kilka metrów wysoką, tworzącym, pod Ruel, gdzie powtórne pięknych widoków odkryło się grono (gruppa); to jest dawne i świeżo po Europie wysławiane Malmaison, ulubione Józefiny siedlisko, wzgórkami la Jonchére i Marly towarzyszone, z pobliskiem Chaton, w którym pięknością okolic zachwyceni, niewiedząc, kiedy Sekwanę przebyli. Nakoniec pełen maju i świeżości lasek, Vesinet, drożąc,ubieżeli prostéj linii trzy ćwierci mili francuzkiéj, aż do mostu ostatniego na Sekwanie, do S. Germain wiodącego; to jest mety, kraniec podróży stanowiącéj; tam wysiadając, czas i podróż ważąc, nie pomału zdziwieni byli, w pół godziny albowiem odbyliśmy podróż na 18,430 metrów długą, czyli drogę półpiętéj mili franc. wynoszącą, a do tego najwygodniejszą i najprzyjemniejszą, jaką świat dotąd posiadać mógł.

W miejscu przybycia, budują z wielkim pośpiechem dom gościnny; tymczasowie wysiada się przed szopą, mnóstwem namiotów, bud i t. d. otoczoną, w których wszelkim żądaniom podróżnych zadość uczynić się starają. I tu nieprzeliczony gmin ciekawych, wszystkie aż do drzew rusztowań i murów wspomnionéj budowli zapełniających miejsca, powitał nas wesołemi okrzyki. Klaskania, pianie, świst i tupanie, bębnienie i skoki, téj radości oznaki bez końca przedłużano, tym właśnie obyczajem, jak to w teatrach zniecierpliwiony czynić zwykł Paryżanin, nim zasłona uchyloną zostanie. Pomnażała ów niepokój i ta okoliczność, że gdy niebyła jeszcze druga do powrotu wygotowana koléj, musiano czekać na miejsca, które zajmowaliśmy; a natłok, ścisk i wrzawa tym mocniéj wzrosły, gdy wielu z przybyłych siedzenia swe, nietylko zatrzymali, ale nieochłodnąwszy jeszcze, już o powrót naglili; być albowiem w liczbie wybranych, co pierwszą po kolei odbywać drogę i pierwszą z dopełnionéj podróży zdawać mieli Paryżowi ciekawemu sprawę, mocno rozogniał zapalone umysły.

Punkt przybycia, Sekwana, wyspą kwiecistą ozdobiona, w formie łuku oblewa i wzgórzem gajkami strojném w amfiteatr otoczona jest; podgórze jéj, piękna dolina z osadą le Pec i Przystań do miasta S. Germain należąca, zajmują; zamek nakoniec królewski, całość okolicy uwieńcza. Od le Pec dwie drogi, śmiałéj po skałach budowy, prowadzą ku miastu i zamku podwojom; pierwszą na kołach, drugą po szerokich stopniach pieszo się odbywa; liczne wszechwozy i tu na każde zawołanie wygodzie publicznéj usłużne; a tak dostawszy się do miasta i starodawny zamek S. Germain, sławne na całą Francyą królów siedlisko, odwiedziliśmy; w tém to Henryk II., Karol IX. i Ludwik XIV. zrodzon, a Jakéb II., król angielski, w 1701 roku życia dokonał.

(Koniec nastąpi.)

Marya Sztuart.

Marya Sztuart, królowa szkocka, ur. r. 1541, córka Jakóba V. i Maryi, xiężniczki lotaryngskiéj, aby ujść zasadzek Henryka VIII., króla angielskiego, ukrywała się najprzód w odległym klasztorze, a od roku 1548 przewieziona do Francyi

tamże w klasztorze niedaleko Paryża jak najstaranniejsze odebrała wychowanie; wreszcie w roku 1557 Delfinowi Franciszkowi w małżeństwo poślubiona. W rok po swém zamęściu wstąpiła na tron francuzki razem z swym małżonkiem, Franciszkiem II., kochana i prawie ubóstwiana od Francuzów dla swéj piękności i czarujących wdzięków. Ale już roku 1560 umarł król, a razem jéj matka regentka, Szkocyi. Odmówiwszy żądanie Elżbiety, królowéj angielskiéj, aby się zrzekła szkockiego tronu, wsiadła w Calais na okręt, a znikający przed oczyma kraj ulubiony temi pożegnała słowy:

Adieu, plaisant pays de France!
O ma patrie,
La plus cherie,
Qui a nourri ma jeune enfance:
Adieu France! adieu nos beaux jours!
La neuf qui desjoint nos amours,
N'a eu de moi que la moitié,
Une part te reste, elle est tienne
Je la fie a ton amitié,
Pour que de l'autre il te souvienne.

I dostała się szczęśliwie przez czatujące na nią angielskie okręty do Szkocyi. Tutaj jednak już się był usadowił nieznany jéj duch, duch protestantyzmu, na którym nie poznała się Marya, i tym sposobem oburzyła przeciwko sobie naród i utraciła wielu stronników. Odrzuciwszy po kilkakroć proponowane sobie przez stany małżeństwa, nakoniec dała swą rękę i tytuł króla Katolikowi i Sztuartowi Darnlej, który między wszystkimi zalotnikami urodą celował. Lecz Darnlej nie przestał na tytule; zaczął dręczyć i tyrannizować Maryą, zamordował w jéj obecności Włocha Rizzio, miłego śpiewaka i sekretarza królowéj, zamknął ją w skrwawionéj tém morderstwem komnacie, i dopiero gdy Marya z bronią w ręku przeciwko małżonkowi swemu wystąpiła, przyszło do ugody. Roku 1566 powiła syna, zwanego póżniéj Jakóbem VI., który ochrzcony podług obrządków kościoła katolickiego, stał się powodem do nowych między Katolikami a Protestantami zatargów. Także pomiędzy Darnlejem, a bratem Maryi Murrej, powstała wielka nienawiść, która się dopiero skończyła roku 1567 (w nocy z dn. 9. — 10. Lutego), gdy Darnlej w osobnym domu za miastem chorobą złożony leżąc, w powietrze wysadzony został. Marya nie była przynajmniéj od podejrzenia wolną, że o tém wiedziała, a Murrej zbiegł do Francyi. Królowa oddała rękę, pozornie przymuszona do tego kroku, Bottwellowi; a przez ten związek, z mężem, który uchodził za zabójcę Darnleja, w większe jeszcze wpadła podejrzenie. Szlachta zbuntowała się, wojsko ją opuściło, Bottwell wypędzony ze Szkocyi, a Marya była przymuszona wyznaczyć regenta, na który to urząd brata swego Murreja wyniosła. W skutek tych rozruchów osadzona w zamku Lohlevem, 11 miesięcy tamże więziona, ztamtąd uciekła i stanęła na czele 6000 swych stronników przeciwko regencyi. Lecz pod Logside od Murreja pokonana, nie widząc już żadnego ratunku, postanowiła schronić się do Anglii, rzucając się w ręce swéj najgłówniejszéj nieprzyjaciołki Elżbiety. Przyjęta po królewsku, ujrzała się wkrótce otoczoną szpiegami i pod coraz ściślejszym dozorem: wkrótce zaczęto puszczać najszkaradniejsze wieści o Maryi, i zadawać najokropniejsze zbrodnie. Z Carlisle przeprowadzoną do zamku Bolton: tutaj oskarżył ją ojciec Darnleja, o zabójstwo małżonka i występne związki z Bottwellem, popierając skargę listami i piosnkami królowéj. Tajna kommissya, wyznaczona przez Elżbietę, zaczęła najprzód w York, a potém w Westminster śledzenie, wlokące się żółwim krokiem. Lecz gdy Marya nawet na rzecz syna swego, tronu zrzec się nie chciała, przeprowadzono ją znowu do innego zamku pod ścisły dozór hrabiego Schrewsbury. Xiąże Norfolk, zachwycony pięknością królowéj ułożył plan jéj uwolnienia: ale, gdy ten zamiar odkryty został, przypłacił śmiercią śmiałość swego przedsięwzięcia, wraz z wspólnikami swymi, a Marya odtąd w ściślejszém jeszcze trzymana była więzieniu. Wstawienia francuzkiego i hiszpańskiego dworu, równie bezskutecznemi się okazały. Po krótkiém odwiedzeniu wód w Buxton, zachorowała w Sheffield, i po niebezpiecznéj chorobie w mocniejszem jeszcze więzieniu w Tutbury osadzona, gdzie surowy, ale uczciwy Amys Paulet, zasłonił jéj życie od nasłanego przez Elżbietę zabójcy. Mnożące się sposoby ratunku ze strony Katolików, przyspieszyły jéj zgubę. Zamach uczyniony na życie Elżbiety przez pewnego młodego szlachcica Babington, został odkryty, w skutek którego, jego, równie jak sekretarzy Maryi, i wiele innych osób, do tego spisku należących, stracono. Maryi odebrano klejnoty, kosztowne rzeczy i pieniądze; nakoniec do zamku Fortheringhaj sprowadzono, gdzie dnia 25. Września 1586 przybyła. Kanclerz angielski, wraz z 20 lordami, mianowani nieprawnie jéj sędziami, oskarżyli ją o wspólnictwo w zamachu na życie Elżbiety: ci wydali wyrok śmierci, potwierdzony przez parlament, a tak Marya, po bezskutecznych znowu usiłowaniach, aby ją uwolnić z więzienia, 18. Lutego 1587 r. podała królewską głowę, już wtedy śnieżnym włosem okrytą, pod miecz katowski. W obliczu śmierci okazała wielkość duszy i nieustraszoną odwagę; wierna religii swych przodków, wśród niegodnych poduszczań, nawet w téj ostatniéj chwili przez hrabiego Kent i dziekana Fletcher, aby się wyrzekła katolicyzmu. Jak dalece Marya była winną lub niewinną, jeszcze historya dostatecznie tego nie wyjaśniła. Głównym jéj występkiem w oczach Elżbiety, była podobno jéj piękność, stałość w katolickiéj wierze, tudzież prawo do tronu angielskiego.

Marya Sztuart.



Niedźwiadek. *)

Bajka.

Niedźwiedzia jéjmość urodziwszy synka,
Pokochała go szalenie.
Ten miły głosek, to wdzięczne spojrzenie,
Zwłaszcza ta dowcipna minka,
Którą widziała w swym płodzie,
Tak jéj głowę zawróciła,
Że tylko o nim, o jego urodzie,
Po całym lesie trąbiła.
Nic nie znała piękniejszego,
Najmniejszych nawet nie widziała wadek:
Żaden smorgoński niedźwiadek
Ani się umył do niego.
Słowem pewną była,
Że samego lwa zrodziła.
Mąż, który zdala na dwóch łapach siedział,
Długo jéj ani słówka nie powiedział;
Lecz wreszcie tylu pochwały znudzony,
Zbliża się do żony,
A wprzód ją łapką pogłaskawszy grzecznie,
Tak do niéj mówić zaczyna:
„Moja ty duszko, zrodziłaś mi syna;
„Niech cię to przecie nie martwi zbytecznie,
„Kiedy ci wyznam otwarcie i śmiało,
„Że to pieścidło w twych oczach tak ładne,
„Wcale nam się nie udało
„I że jest monstrum szkaradne.“ —
Co monstrum! ryknie i na męża wpada,
Ledwie oczu nie wydrapie.
Otóż ja, rzecze, pokażę ci capie,
Że to jest lewek i lewek nie lada.
I nuż więc lizać swoje drogie dziecie;
Liże je po łbie, po grzbiecie,
Liże je z boku, liże z przodu, z wierzchu,
Liże od rana do zmierzchu.
Ale któż sobie żal jéj wyobrazi,
Gdy na nic wyszły lizania tak długie,
I gdy nareszcie wylazi
Taki niedźwiedź jak i drugie.
Krzyczy więc, ryczy, tarza się i pieni,
Ostremi drze się pazury;
Wszystko próżno: nikt nie zmieni
Pierwotnych rysów natury.
Pomimo wszelkie trudy i staranie
Kto się zrodził niedźwiedziem, niedźwiedziem zostanie.
Zdarza się i uczonym podobny przypadek,
Mąż krytyk, żona autor, a dzieło niedźwiadek.

F. M.

*) *Bajka ta opiera się na upowszechnionem mniemaniu, że niedźwiadki rodzą się potworami, i że dopiero lizanie matek nadaje im kształt właściwy. Ztąd u Francuzów un ours mal leché, w Wirgiliuszu nawet fingere lingua corpora.*

Wiano Halinki. *)

Kędy wiosenną strojne zielenią
W okół bujne kwitną łany,
A złotym rankiem drzewa promienią;
Kraj tam luby, kraj kochany.
Tutaj wioszczyny zamglone chatki,
Owdzie lasku włos zielony;
Tam wozy kmiotków, jak w rzece statki,
Mkną przez piasków wał czerwony.
A na złotawym żwirów przestworzu,
Ponad ciche piasków wały,
Na strojnym w okół oparty wzgorzu,
Wznosi się klasztor wspaniały.
W dole rozlicznych kwiatów barwami
Nadobna łączka rozkwita:
W niéj rój motyli skrzydlek falami
Lśni, jak wstęga z złota wita.
Tutaj to niegdyś Halinka młoda
Rwała Bogu kwiat do wianka,
Ztąd do świątyni, jako jagoda
Zdążała niebios kochanka.
Nie jeden żebrak, nie jedna z matek,
Obok pańskiéj tutaj córy,
Na dzień odpustu uszczknęła kwiatek,
By nim święte zwieńczyć mury.
Niejedna krówka biednéj sieroty,
Tu się w letni pasła dzionek,
I niejednego wołku tu dzwonek
Czyn pobożnéj głosił cnoty.
Chciał Bóg — i anioł z dziewic zgasł choru:
Ostatnie jéj były słowa:
„Wszystko dla sierót; ojcom klasztoru
„Moja zielona Dąbrowa.“
W cichéj grobowéj przodków zachronie
Ojcowie skryli ją święci,
A lud z téj łączki darń na jéj łonie
Dla wiecznéj złożył pamięci.
Mijają wieki; — śniegi zimowe
Miejsce boskich bielą pieni;
Dobréj Halinki wiano grobowe
Ciągłym się majem zieleni! —

A. B.

*) *Cała ta gadka osnuta jest na gminném podaniu, które się utrzymuje pomiędzy ludem, zamieszkającym okolice Rawicza, miasta powiatu krobskiego. Klasztór, o którym wspominam, miejsce cudu, są Góruszki, w tymże leżące powiecie. Niegdyś zamieszkany przez zakon OO. Reformatów, odznacza się pięknością budowy. — Wykute pod kościołem groby, były przez wiele lat zachroną pośmiertną wszystkiéj szlachty tamtejszego powiatu. W pysznych złożone trumnach widzieć tam można było pierwsze familie xięstwa. Przed laty może ośmiu, zbutwiałe zwłoki, w jednym, w bok kościoła złożono grobie, a deski mocnych trumn dębowych, wraz z strojącym je po większéj części axamitem i innemi ozdoby, rozebrało ubóstwo. Dobrzeby było, gdyby który z miłośników ojczystych pamiątek zwiedził rzadki ten klasztór i wyrwał niepamięci niejedno piękne wspomnienie, które za kilka godzin, może — już na zawsze dla nas zginęło!*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)